

# STAROŻYTNOŚĆ W NAMIOTACH

**T**EATR Dramatyczny w Wałbrzychu przygotował na premierę styczniową komedię Menandra — „Odludek”. I wybór autora i gatunku, mógłby wskazywać na świadomy, podyktowany nadrzędną linią repertuarową, kierunek zainteresowań tej placówki artystycznej. Mógłby, gdyby temu wyborowi nie towarzyszyły inne, wcześniejsze, a i późniejsze też propozycje programowe. One bowiem nie pozwalają ujrzeć prawdziwego oblicza tej sceny. Albo raczej ukazują ją, jako dość zmienną, żeby nie użyć wyrażenia, wielomówną. Obok poważnego, klasycznego repertuaru, ważkiego problemowo, odnaleźć można pozycje lekkie, komediowe, często drugorzędne. Spotykają się tu Szekspir (Hamlet) z Bogusławskim (Figiel za figiel), Brecht (Matka) z Wybickim (Kullig), Żeromski (Sułkowski) z Menandrem (Odludek).

Ten eklektyzm może dobrze, ale może i źle świadczyć o charakterze sceny wałbrzyskiej. Prawdopodobnie dyrekcja pragnie zaprezentować różny krój i różny kolor garniturów teatralnych. Z tej to różności wyskoczył Menander, z garniturem nieco śmieszonym. Jak by nasz czas, nieco wytartym i spłowiałym, ale w sumie, cieszącym oko, choćby dlatego, że nieodparcie przypomina elementy naszej sytuacji obyczajowej (moda), kiedy to młode dziewczyny stroją się w łachmanki prababek, z kura kurzem porośniętego, wyjęta.

Menander to historia. Wykształcony Ateńczyk, urodzony w 343 r. p.n.e., uczący się — jak informuje biografia — z Epikurem w jednej szkole, pisywał komedie (ponad 100), z których część tylko lub fragmenty zachowały się do dziś. Jego „Odludek” (odnaleziony w 1936 r.), tłumaczony przez Jerzego Łanowskiego, ma prezentować klasykę w lepszym wydaniu. Tekst nie „brzmi” jednak czysto. Nie mieści się w granicach współczesnej wróżliwości. Język w wielu miejscach jest martwy, drewniany. Fabułka tej komedii nieznośnie naiwna, i w końcu, banalna. Motyw w literaturze światła aż nazbyt późnej, po Menandrze, a i wcześniej, wykorzystywany. Jest stary i skąpy (oczywiście) bohater zwany — Kne-  
monem — dusigrosz i wstrętny

mizantrop. Ma (jaką?) ładną córkę, której pilnuje skrzętnie przed utratą cnoty wszelkiej, ma też starą niewolnicę, której istnienie można tłumaczyć tylko tym, że pełni funkcje „wywoławczą” instynktów sadystycznych swojego pana. I ukazuje się także przypadkowo (naturalnie), koło domu starca przechodząc (jaki?) dużej urody, i wdzięku młodzian — Sostratos. To on zawrócił dziewczynie w głowie i, po wielu perypetiach (gdzie skapstwo — w realizacji scenicznej wyraźnie przyspiesza akcję), oblaśkawia starca (pracą, panowie zdobywający serca dam, pracą). Przygarnia też czule córkę Knemona. I tak kończy akcję.

Z tej sztuki aktorzy mieli zrobić coś do śmiechu. Czyli: stanęli przed zadaniem trudnym. Reżyser spektaklu, Irena Byrska, wybrała interpretację, jak mi się wydaje, dość nieszcześliwą. Cały bagaż myślowy (malutki), potraktowała poważnie, serio. Trochę nazbyt moralizatorsko. I to wpłynęło pewnie na fakt, że nawet miejsca komediowe o widocznej urodzie gubiły się. Wypadały z obiegu w tej konwencji. Aktorzy ubrani w maski powinni, w zamiarze reżysera, dać przykład gry i stylu bycia na scenie, niejako wzorowego, klasycznego. Mieli przypomnieć, jak się dawniej grywało. A przypomnieli tylko, że są współczesnymi, niezłymi zresztą, aktorami, którzy się duszą trochę w tych maskach. Swoją drogą, maska niewolnicy Knemona, robiła wrażenie. Aktorka (Janina Wojtczak), grająca tę rolę, też. Dobrze się spisał, jako skapiec, Zdzisław Nowicki. Może tylko trochę przerysował swoją rolę, szczególnie w ruchach. Sostratos, czyli amant, (K. Motylewski) zagrał z umiarem. Miejscami nawet z wdziękiem, jak na możliwości tego spektaklu. Niestety, i koncepcja reżysera, i ograniczenia scenograficzne, nie pozwoliły aktorom się wyżyć. Reżyserowi zabrakło odwagi, żeby pójść o krok dalej. Zrobić groteskę. Zagrać „zabawę” w teatr. Przydałyby się również większe cięcia w tekście. Niewątpliwie pomogłyby tu śmielsze pomysły scenografa. Nie były jednolite w umowności. Jedynie aktorom należy zawdzięczać, że jakoś się wybronił przed krachem, który groził. Rytm przedstawienia na początku rwał się. Później zdynamizowana akcja (wejście kucharza, więcej ruchu i scena z koszmarnym wytworem cywilizacji — baranem na kółkach) nadała rumieńców całości (niejednolitej stylistycznie).

W sumie: zabawy trochę było; aktorzy robili co mogli, żeby rozśmieszać, czasami tylko gubili się w „humorze sytuacyjnym”, w złym guście zresztą zaprojektowanym. Tym bardziej warto podkreślić wysiłek aktorów i całego zespołu, że z tego materiału niełatwo sypią się iskry. A jednak, trochę się posypały.

STANISŁAW SROKOWSKI

Menander „Odludek”, Inscenizacja i reżyseria — Irena Byrska, scenografia — Anno Szellga, prapremiera w Państwowym Teatrze Dramatycznym w Wałbrzychu — 31 stycznia 1970 r.